

# POCIĄGAŁO MNIE SAMO ŻEGLOWANIE

Michał Sumiński -- przedwojenny kapitan jachtowy, miłośnik natury, życia, prezenter telewizyjny

Rozmawia Dariusz Tazbir



Znają Go prawie wszyscy z telewizyjnego „Zwierzynca”

**- Co pojawiło się w Pana życiu pierwsze, zainteresowanie naturą czy żeglarstwo?**

- Trudno jest to rozdzielić, ponieważ ja wychowałem się na wsi, w majątku mojej babki, w Leśniewie w ciechanowskim i z naturą byłem związany od dziecka. Dodatkowo jestem dziedzicznie obciążony dlatego, że mój ojciec Stanisław Sumiński był przyrodnikiem, doktorem filozofii, jak to się wtedy nazywało, w zakresie biologii i wykładał w Warszawie w gimnazjach i na Uniwersytecie. Ojciec na każde święta i wakacje przyjeżdżał do Leśniewa, gdzie byłem ja i rnoja siostra i zabierał mnie na spacer do lasu, na łąki. Pokazywał mi i opowiadał: widzisz tego ptaka z takim długim ogonem, co ma trzeszczący głos? To jest sroka. A gdy podeszliśmy do jakiegoś bagienka czy stawku: widzisz to, co tak biega po powierzchni wody? To jest nartnik. Opowiadał, dlaczego nie zapada się w wodę itd. Tak więc od najwcześniejszego dzieciństwa byłem związany z przyrodą, natomiast trochę później, jak już zacząłem być samodzielny, zacząłem żeglować... W majątku babci był duży staw, znaczy duży... wtedy wydawał się duży, teraz jest bardzo nieduży. Ale byt wy-

starczające duży, żeby na nim nie tyle żeglować ile wiosłować. Nie była to formalnie rzecz biorąc jednostka pływająca, ani kajak, ani łódź jakaś. To było koryto dębane w drzewie, do czyszczenia świni. Przybiłem do niego takie ucha z dwóch stron z miękkiej skóry zamiast dulek, zrobiłem dwa wiosła i wiosłowałem. Potem próbowałem żeglować. Próba wyszła nienajlepiej, dlatego że maszt zrobiłem sobie z tzw. baby do wsuwania chleba do pieca, zrobiłem ster, a żagiel zrobiłem z jedwabnej, bardzo pięknej chusty, którą mój ojciec przywiózł mojej siostrze z wystawy z Paryża. Ja jej tę chustkę podkradłem i zrobiłem z niej żagiel, po prostu przybiłem ją gwoździami do masztu. Jak się sprawa rypta, miała dla mnie dosyć przykre zakończenie. Niemniej sporo pożeglowałem, choć na początku żeglowanie polegało na tym, że płynąłem na wiosłach pod wiatr, po czym stawiałem ten żagiel i spływałem z wiatrem. Potem zacząłem już kombinować troszkę baksztagiern, troszkę półwiatrem. O halsowaniu nie było oczywiście mowy.

### **- A kiedy zaczął pan żeglować „świadomie”**

- Kiedy pojechałem do Warszawy, do gimnazjum, dosyć szybko zacząłem kajakować. Miałem kajak i do tego kajaka dorobiłem sobie żagiel. Z tym, że na kajaku żagiel ma 2-2,5 metra, a ja zrobiłem sobie przeszło 6-metrowy, to było bardzo dużo. Siedziałem na burcie tego kajaka jak małpa i nie ukrywam, że co pewien czas sypałem się do wody. Ale za to nawet przy średniej sile wiatru miałem znacznie większe żaglówki. To był tzw. kajak Paulego, z rozszerzonym dziobem, nie przystosowany do żeglowania. Później dorobiłem miecz i skrzynkę mieczową. Ale był to jednak kajak tyle że o bardzo dużym żaglu. Długi czas żeglowałem na Wiśle.

### **- Kiedy zaczął Pan zdobywać stopnie żeglarskie?**

-Zacząłem żeglować na jeziorze Narocz na Litwie, tam zdobyłem oficjalne stopnie żeglarskie. Tam pierwszy raz byłem instruktorem, oficjalnie nazywało się to sternikiem, rok lub dwa. Potem zostałem Zastępcą

Kierownika Wyszkolenia Żeglarskiego, a potem już byłem KWŻ-tem. To był duży, bardzo dobrze prowadzony ośrodek, duża ilość łodzi, przeważnie Piętnastki- (15 metrów kwadratowych żagla), turnusy po dwieście osób. Ośrodek został wybudowany przez Ligę Morską i Kolonialną. Był to jeden z większych w Polsce ośrodków żeglarskich i lepiej prowadzonych, nie chwalać się.

### **- Kiedy zaczął Pan pływać po morzu?**

- Jeszcze będąc instruktorem nad Naroczą brałem udział w rejsach morskich, z początku w Lidze Morskiej. Stosunkowo szybko zdobywałem stopnie żeglarskie. Byłem dosyć cenny dla kapitanów, ponieważ umiałem i lubiłem gotować. Nawet w czasie najgorszej pogody, najgorszego sztormu, w ówczesnie szalenie ciężkich warunkach. Teraz jest luksusowo, na jachcie jest kambuz przyległy do przejścia na pokład. Wtedy gotowało się w forpiku, na wahających się kardnach. Ciężko było szczególnie przy cięższej pogodzie, dziób bił i latał na wszystkie strony. Trzeba było kucając gotować nad tą kuchnią. To było naprawdę trudne, ale ja to lubiłem i umiałem. Kapitanowie chętnie mnie brali najpierw jako żeglarza, potem jako sternika morskiego, a później pływałem jako oficer.

### **- Jak wyglądał Pana pierwszy kapitański rejs?**

- Tuż przed wojną w sierpniu 1939 roku zdałem egzamin na stopień kapitana i pod koniec sierpnia wypłynąłem w swój pierwszy rejs jako kapitan. Popłynąłem do Nexø, na Bornholmie, potem do Karlskrony. Tam mieściła się Szwedzka Szkoła Żeglarska, tam miałem znajomych oficerów, wykładowców, których w poprzednim roku oprowadzałem i podejmowałem w Gdyni. No i oni przyszli do mnie i zapytali mnie, jakie mam plany, ja mówię, że mam czas mniej więcej do piętnastego września, to był 26 lub 27 sierpień, chcę sobie popłynąć na wyspy Alandzkie. Powiedzieli mi: jeśli chce Pan przed wybuchem wojny wrócić do kraju, to niech Pan jak najszybciej płynie. Skorzystałem z ich rady i wróciłem do kraju 30 sierpnia.

### **- Jak wyglądały początki powojennego żeglarstwa morskiego?**

- Organizacyjnie to była kontynuacja struktur przedwojennych. Powstał Polski Związek Żeglarski, żeglarstwo harcerskie. Odrodziły się stare przedwojenne kluby. Zorganizował się klub Ligi Morskiej, jako Gryf. Powstał a raczej nie przestał działać Yacht Klub Polski, powstał w Gdyni Jacht Klub Oficerski, dawny OJK, powstała YMCA. Ocalała parę jachtów, między innymi jachty YMCA 3 i YMCA i szybko je wyremontowano. W 1946 lub 47 roku wrócił do Polski jacht *KRYSAREN*, który teraz nazywa się *GENERAL ZARUSKI*. To był jacht zakupiony przez Ligę Morską i Kolonialną przed wojną i nie został przez nią przejęty. Podczas wojny opiekował się nim w Karlskronie kpt. Bernard - przyjaciel generała Zaruskiego i szef Szwedzkiej Szkoły Żeglarskiej. Na prośbę Zaruskiego nadzorował budowę jachtu. To był bratni statek *KAPAHENA*, który był flagowym statkiem Szwedzkiej Szkoły Żeglarskiej.

### **- Znał Pan Generała Zaruskiego...**

- Przed wojną mój ojciec był działaczem Ligi Morskiej, a potem członkiem zarządu głównego i zastępcą kierownika wydziału wychowania morskiego młodzieży. Kierownikiem wydziału był generał Mariusz Zaruski. Ojciec przyjaźnił się z generałem i dzięki niemu go poznałem. Potem kilkakrotnie pływałem na *ZAWISZY CZARNYM* pod jego dowództwem, z czego do dziś dnia jestem bardzo dumny.

### **- Czy pamięta Pan jakąś szczególną sytuację z generałem?**

- To było nasze ostatnie spotkanie. W sierpniu 1939 roku wypłynąłem w swój pierwszy kapitański rejs. Kiedy wypływałem, były różne nastroje wojenne. *ZAWISZA CZARNY*, który miał płynąć w rejs - nie wypłynął. W basenie jachtowym w Gdyni, z którego wypływałem, stał *ZAWISZA CZARNY*, na rufie stał generał Zaruski. Postawiłem załogę na burtę, zrobiłem opuszczenie bandery i paradę burtową na cześć generała. Tak prawdę mówiąc niezu-



pełnie zgodnie z etykietą jachtową, bo w porcie się nie salutuje. General odsalutował i widziałem, że sprawiło mu to przyjemność.

**- Jak wyglądały czasy, kiedy nie można było pływać po morzu?**

-Zaraz po wojnie byłem pierwszym instruktorem na YMCA 3, pływaliśmy na krótkie rejsy zagraniczne, dopóki było to możliwe. Po ucieczce premiera Mikołajczyka morze się praktycznie zamknęło i wszyscy przerzucili się na Mazury. Kiedyś nie umawiając się na przystani w Mikołajkach spotkało się siedmiu kapitanów żeglugi wielkiej, z dziesięciu czy dwunastu wtedy żyjących i uprawiających żeglarstwo

**- Jakie cechy i umiejętności, które nabył Pan na morzu, wykrzystuje Pan w życiu?**

- Żeglarstwo morskie wymaga dyscypliny, wewnętrznej i zewnętrznej, To mi w wielu sytuacjach życiowych bardzo pomogło. Uczy odpowiedzialności szczególnie jak pełni się funkcje oficerskie, nie mówiąc już o funkcji kapitana, gdzie to poczucie odpowiedzialności za grupę ludzi bardzo ciąży na człowieku.

**- Jakie cechy powinien posiadać dobry kapitan?**

- Żartobliwie odpowiem, że dobry kapitan nie powinien być upierdliwy, tzn. musi wymagać od załogi, ale przede wszystkim od siebie. Nie może dręczyć załogi.

**- Co Pan lubi w żeglarstwie morskim, czy to bycie na morzu, byciem oraczem morza, jak my to nazywamy, czy raczej taką żeglugę od portu do portu?**

- Nie jestem fanatykiem ani jednego, ani drugiego kierunku. Bardzo chętnie robiliśmy wspólnie z żoną, na dwóch jachtach, ciekawe rejsy od portu do portu. Płynęliśmy sobie do małych portów. Nasz syn był wtedy jeszcze maty, pływał z żoną jako kandydat na żeglarza. Płynęliśmy do jakiegoś portu, tam byliśmy pół dnia, cały dzień. Umawialiśmy się: teraz płyniemy tam i tam, i znowu każdy płynął sobie i spotykaliśmy się, siedząc dzień czy pół dnia w porcie i wypływaliśmy do następnego. Samo wyjście i wejście do portu jest dla mnie, i mam wrażenie że dla wielu



Michał Sumiński z małżonką

żeglarzy, jakąś przyjemnością. Później jako kapitan, jeśli wiedziałem, że mam dobrego oficera - dawałem mu wchodzić nawet do obcych portów, gdzie byłem pierwszy raz. Oczywiście omawiał ze mną manewr, tak samo wyjście z portu. Czasami oczywiście radziłem, że lepiej byłoby to zrobić inaczej. Raczej łączyłem przyjemność samego żeglowania i odwiedzania portów. Na przykład w Visby byłem ze dwadzieścia razy.

**- Czy próbował Pan zajmować się żeglarstwem zawodowo lub w jakikolwiek sposób łączyć te sprawy?**

- W pewnym sensie zajmowałem się zawodowo żeglarstwem, ponieważ przez wiele lat, po wojnie, pracowałem w Zarządzie Głównym

Ligi Morskiej jako kierownik wydziału morskiego młodzieży, a jednocześnie przez cały sezon letni byłem kapitanem na *GENERALE ZARUSKIM*. Najpierw na *GENERALE ZARUSKIM*, potem *MARIUSZU ZARUSKIM*. Kiedy jacht przemianowano na *MŁODĄ GWARDIĘ* przestałem na nim pływać. Nigdy jednak nie brałem za żeglowanie pieniędzy. Pływałem na *ZARUSKIM* szkoląc młodzież z Ligi Morskiej, a byłem opłacany przez Zarząd Główny Ligi Morskiej jako kierownik wydziału. Potem byłem w służbie morskiej Służby Polsce i pływałem na *GENERALE ZARUSKIM*, ale nie byłem opłacany za to, że żeglowałem, kapitanowałem, tylko że byłem pracownikiem komendy głównej Służby Polsce.



**- Jakie było Pana najpiękniejsze przeżycie na morzu?**

- To trudno powiedzieć. Łatwiej byłoby znaleźć najtrudniejsze... Wracałem ze wspólnego rejsu z żoną i w Kattegacie złapała nas bardzo ciężki sztorm. Żona prowadziła wtedy PTTK-owską *POLONIĘ*, a ja *GENERALĄ ZARUSKIEGO*. Byliśmy w Oslo i w powrotnej drodze złapała nas pełna dwunastka. Nie jest to dobre miejsce na sztormowanie. Oni zdążyli przemknąć wcześniej, a ja miałem dwie bardzo ciężkie noce, szczególnie, że miałem bardzo słabą załogę. To był grzecznościowy rejs zrobiony dla towarzystwa przyjaźni polsko-norweskiej i na pokładzie więcej miałem więcej działaczy tego towarzystwa aniżeli prawdziwych żeglarzy. Tak

więc w trójkę, to znaczy ja i dwóch oficerów, dwie noce i dzień przeżeglowaliśmy z ciągłą świadomością zbliżania się do brzegu,

**- Jaka rolę odgrywają Pana zdaniem obecnie pieniądze w żeglarstwie i czy żeglarstwo to sport dla zamożnych?**

- Niestety tak, tym bardziej teraz, kiedy kluby bardzo podupadły. Jeszcze stosunkowo niedawno kluby robiły remont całkowity jachtów, pobierały pieniądze tylko za wyżywienie i symboliczną opłatę za czarter. W tej chwili stawki za czarter są wysokie, płacą je wszyscy... Bez pieniędzy niestety nie ma żeglarstwa.

**- Co sądzi Pan o wykorzystaniu żeglarstwa do reklam alkoholu i tytoniu?**

- Nie cieszy mnie to oczywiście, ale jeśli to ma być cena za to, że będzie można żeglować... Żyjemy teraz w takim ustroju, że musimy się zgodzić z dobrymi i złymi tego stronami. Nie bardzo wierzę, żeby reklama rzeczywiście namawiała do tych używek i żeby napis, że tytoń szkodzi, mógł cokolwiek zmienić.

**- Jak poznał się Pan z żoną?**

- Poznaliśmy się po wojnie, żona była działaczką klubu Gryf. Mieli bardzo dobre jachty. Ja wtedy żeglowałem na *ZARUSKIM* i stałem w Gdyni w basenie prezydenta - obecnie rybackim. Wszystkie kluby miały wtedy siedziby w basenie jachtowym, między innymi Gryf. A sam moment poznania z żoną?... Właśnie w klubie. Żona kompletowała załogę, żeby popłynąć na sobotę i niedzielę do Jastarni. Zaproponowała mi rejs. Ja wtedy byłem, jeśli można tak powiedzieć, postacią. W niedzielę nie miałem zajęć, więc z przyjemnością popłynąłem i poznaliśmy się bliżej.

**- Czy żeglarstwo ma jakiś wpływ na wasze małżeństwo?**

- Raczej nie. Wspólnie żeglowaliśmy tylko raz, po Adriatyku. Dostaliśmy jacht z klubu i zrobiliśmy duży rejs wspólnie z synem i przyjaciółmi. Z tym, że ja byłem kapitanem, a żona zastępcą. Wtedy było bardzo widać, że mamy różne style żeglowania, style prowadzenia załogi. Później kilka razy pływaliliśmy razem, ale zawsze w dwa jachty. Kiedyś na takich małych trzydziestkach zrobiliśmy bardzo miły rejs z Gdyni do Świnoujścia z zachodzeniem do wszystkich portów. Ale pływaliliśmy na osobnych jachtach, więc każdy był gazdą i gospodarzem u siebie.

**- Czym jest dla Pana żeglarstwo?**

- Dla mnie żeglarstwo jest wielką pasją... Trudno mi jest to jakoś inaczej określić. Raczej nie traktowałem żeglarstwa krajoznawczo. Miałem inne możliwości wędrowania po świecie. I zlatatem, jeśli tak można powiedzieć cały świat. Tak więc żeglarstwo to była głównie przyjemność i pasja. Krajoznawcze żeglarstwo specjalnie mnie nie pociągało, pociągało mnie samo żeglowanie.

Fot. Marek Słodownik